

— A pan także pełny — mówi Jasio — a ciemu pan nie śpiewa?

W tramwaju śmiech. Jasio dostaje od mamy klapsa.

Nareszcie jesteście na dworcu.

Przy kasie kolejowej mały ścisk. Jakaś pani zemdląca, jakiś pan chciał zobaczyć która godzina, ale na cudzym zegarku, więc go złapano i oddano policyi, jakaś panienska zgubiła portmonetkę, narobiła dużo krzyku i znalazła ją później w innej kieszeni. Zdobywszy przy wielkim wysiłku energii bilet, walę na peron. Sodoma-Gomora!

„Vergnügungszug“ tak przepełniony, że się przelewa... Wszyscy wołają konduktora, ale go nie widać. Schował się z obawy przed zlynchowaniem. Każdy pakuje się gdzie może. Lecz w drzwiach wagonów stoją już pasażerowie z uprzejmą uwagą: O, proszę pana, tu już nie można, tu już przepełnione...

Tak samo w drugim, trzecim, dziesiątym. Znowu potrzeba energii, przy której pomocy dostałem się do wagonu. Siedziało tam zaledwie dwudziestu pasażerów, a więc jeszcze bardzo przyjemny wagon, jak na koleje galicyjskie.

W wagonie znalazłem małego Jasia z mamusią i grubym Nr. 2, z czego byłem bardzo zadowolony. Reszty towarzystwa ku mojemu ubolewaniu w wagonie nie zastałem. Może ich gdzie udusili, może ukradli, może przejechali, może zostawili na peronie, bo „Vergnügungszug“ właśnie ruszył... Jak to się przyjemnie jedzie. Gruby pan sapie i fuka, Jasio mówi aforyzmy, jakiś ojciec chłodzi wachlarzem swoje trzy córki, zawadzając o nosek najstarszej, jakiś właściciel hotelu narzeka na ministeryum.

— Proszę pana — mówi do sąsiada — czy to nie jest skończona sekatura urządzić jakieś rewizje hotelów — ta niby co tam jest do rewidowania, hotel to hotel, łóżko to łóżko, a kanapa to kanapa.

— Niech się pan nie obawia — uspakaja go sąsiad, magistrat nic panu nie robi, bo ma do czynienia z wyborami ściślejszemi, które się jeszcze pociągną kilka miesięcy, jeżeli nie pół roku.

— To prawda, że wybory się nie skończą tak

prędko, a Michalski będzie prezydował niby z musu jeszcze rok.

— Powiedział, że i chce i nie chce być prezydentem, czyli, że jeszcze nie wie...

— To znaczy, że nie wie, czy jego zechcą, dla tego nie może mówić, czy on chce.

— Bądź co bądź ma niezły apetyt.

— To już gorszy apetyt miał ten biedny kapitan, który tak marną sumkę zdefraudował.

— Nieszczęśliwy człowiek, wszystko spowodowała kobieta, jak zawsze.

Wchodzi konduktor. Mały Jasio zabiera głos:

— My już oddali nasie karty w tlamawaju...

— Panie konduktorze, my się tu podusimy — woła jakiś pasażer.

— To już niedaleko Brzuchowice — odpowiada z flegmą konduktor.

Poprzedni ciągną dalej:

— A św. Medard narazie popisuje się dobrze, codziennie chmury, tylko że deszczu nie widać.

— Winni są temu Lwowianie, którzy ciągle na kurz narzekali.

— A wyprosił to magistrat, aby nie potrzeba było skrapiać ulic.

Właściciel hotelu zabrał znów głos:

— Proszę panów, co to za nowe towarzystwo ku popieraniu ruchu przejezdnych i obcych we Lwowie?

— Ano widzi pan — odparł gruby pan — to na to, ażeby każdy obcy, kto przyjedzie do Lwowa mógł oglądać piękniejsze gmachy jak np. ratusz, dyrekcję skarbową, celniejsze ulice: jak Serbska, Smocza, Zbożowa, Wesoła, zabytki jak pokaleczona i do szpitala się prosząca fontanna z parku stryjskiego — to wszystko i mnóstwo innych rzeczy warto widzieć, a obcym trzeba dopiero zwrócić na to uwagę... ufl...

— Panu dobrodziejowi ciepło...

— Nawet gorąco, panie.

— Proszę pana siadać — wtracił się mały Jasio — bo pan psewróci kolej do góry nogami. Za tę słuszną uwagę dostał od mamusi klapsa całkiem niesłusznie.

Jesteśmy w Brzuchowicach. Wszystko wymięte, zmordowane, spocone. Nieba zlitowały się nad bie-

dnymi wycieczkowcami. Lunał deszcz tak „siarczasty“, że o wyjściu poza dworzec nawet mowy nie było. Dusi się więc wszystko na dworcu, gdzie można wcale przyjemnie spędzić kilku godzin, bo i piwo „pod psem“ i miejsca nie ma, i potrawy kiepskie, ale za to przynajmniej drogie, jednym słowem jak na wycieczkę do Brzuchowic. Ale na małym dworcu gwarno. Ścisk przyjemny, taki swojski, galicyjski. Ludzie rozpychają się łokciami, zapychają się za bufet, napychają się kwargłami, lwowskim piwem, jajami etc. Obywatele i obywatelki lwowskie są na wycieczce. Dzieci w ścisku piszcza. Panienki trochę sinieją z zimna, faceci „muszą“ przeciskać się tam i napowrót kilka razy szukając czegoś, ale jeszcze nie wiedząc co to ma być... Jednym słowem: wycieczka w niedzielę do Brzuchowic. Powstaje mała kłótnia, obywatele posyłają sobie przez powietrze pełne „halby“, trafiając przypadkowo niewinnych sąsiadów. Stąd kłótnia powiększa się, a potem się generalizuje. Kłóci się cały dworzec. Panie płaczą. Są już trzy pojedynki i kilka procesów o obrazę czci przez czynne znieważenie czy coś podobnego. Z lasu wracają zbłąkani a przemoknięci spacerowicze, a cisnąc się do bufetu, plamią się jasne sukienki pań, wywołując ostre uwagi. Ale im zbyt mokro, aby mieli zważać na suche słowa. Jakieś dziecko połknęło pół rogalka i „chce się udusić“. Przekątkowo obecny lekarz ratuje sytuację i życie przyszłego obywatela, za co go spotyka „grad“ podziękowań.

Tak „bawimy“ się kilka godzin, poczem wracamy kontenci do Lwowa. W powrocie ścisk jeszcze większy, bo jadą i ci, którzy do Brzuchowic przyszli piechotą lub przejechali karawanem spacerowym pana Kurkowskiego.

A dyrekcja kolejowa, która w dziennikach nie znalazła żadnej wzmianki o uduszeniu lub potratowaniu pasażerów, wydaje potem polecenie urzędowi ruchu, ażeby odtąd pociągi spacerowe skrócono o trzy wagony, bo jeśli się publiczność nie skarży, to zapewne jest tych wagonów za wiele.

Szczegółowe sprawozdanie o oficjalnej wizycie szacha perskiego we Lwowie z powodu braku miejsca odkładam do następnego fejetonu. *Klewe*

GASTON CLOMNER.

## We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

6

(Ciąg dalszy).

Pominawszy już, że te zeznania same dla siebie były wierzytelne, zgadzały się one w zupełności z zeznaniami Heleny i mister Parkera. Nie pozostawało więc żadnej wątpliwości, że Rudolf Springer padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

A Stefan Klaus — tak nazywał się właściciel gospody — oświadczył przytem, że jego żona każdej chwili może to wszystko potwierdzić, co on opowiedział. Policja jednak nie uważała to bynajmniej za konieczne, zwłaszcza, że na podstawie zebranych faktów przyszła do przekonania, że o zbrodniczym jakimś zamachu na Rudolfa Springera mowy być nawet nie może. Zastanowiono więc dalsze śledztwo i uwiadomiono o tem córkę i brata zmarłego, pozwalając równocześnie na natychmiastowe przeniesienie zwłok z kostnicy na miejsce ich wiecznego spoczynku.

Franciszek Springer gwałtem chciał urządzić bratu wspaniały pogrzeb i wzniesić wielki pomnik na grobie nieszczęśliwego, który tak niespodzianą i straszną śmiercią skończył w tym samym dniu, w którym po tylu latach powitał swoją ojczyznę. Ale Helena prosiła go, aby odstąpił od tego zamiaru, który nie zgadzał się wcale z charakterem i zapatrywaniem jej ojca, a przytem byłby śmieszny, choćby dlatego, że w całym mieście nikt nie znał ofiary nieszczęśliwego wypadku. Stryj Franciszek zrazu opierał się temu, ale wkrótce dał się przekonać i — zamówił więcej niż skromny pogrzeb na odległym od miasta małym przedmiejskim cmentarzyku!...

### Kochani krewni.

Mister Parker ku wielkiemu swemu zmartwieniu nie mógł wziąć udziału w pogrzebie, bo ważne interesy, nie cierpiące najkrótszej zwłoki, zawezwały go do Londynu. Przysłał jednak Helenie list, sztywny list sztywnego Anglika, wypisany

potwornymi kulasami, w którym wyraził jej raz jeszcze swoje współczucie i prócz tego przysłał wspaniały wieniec na trumnę jej ojca.

Zdawało się, że niebo płacze nad przedwczesnym zgonem zacnego starca! Wśród potoków deszczu Rudolf Springer, na trzeci dzień po swoim przybyciu do ojczystej ziemi, został pogrzebany, a do grobu odprowadzało go tylko dwoje osób: brat i córka!...

Helena po smutnej, nieprzespanej nocy, wstała bardzo wcześnie i już ukończyła swoją toaletę, a gdy stryj przysłał zapytać się, kiedy może się z nią zobaczyć, odpowiedziała, że już w tej chwili jest do jego dyspozycji. Wkrótce też pan stryj zjawił się w jej pokoju i wprost aż dziwnem było, jak mógł w tak krótkim czasie uspokoić się. W jego twarzy i w jego postaci nie było nawet śladu tego wzruszenia i tej boleści, którą ubiegłego dnia produkował z takim powodzeniem. Jego puciołate policzki promieniały znów zdrowiem i niczem niezachwianą wesołością, farbowane włosy były ufryzowane z równą starannością co przedtem, a jego ruchy odznaczały się znów tą samą sztuczną młodością, jak wówczas, gdy po raz pierwszy stanął przed Heleną, co przy otyłej, krągłej jego postaci robiło śmieszne, ale i przykre wrażenie. W kilku, i to całkiem obojętnych słowach, wspominał o śmierci brata, jako o rzeczy dawno już minionej i w tej chwili przeskoczył na inny temat.

— Zapewne, moje dziecię, twój ojciec nieraz musiał ci wspominać, jak serdeczna miłość łączyła nas przed jego wyjazdem do Ameryki i że nawet oddalenie nie porobiło w niej szczerb żadnych. Z pewnością chyba nie przemilczał o tych dobrodziejstwach, jakie mu, nawet z własną szkodą, wyświadczałem!...

I to mówiąc, patrzył bystro w oczy Heleny, pewny, że tak śmiało twierdzenie spotka się z potakiwaniem z jej strony. Ale młode dziewczę, nieprzyzwyczajone do europejskich konwenansów i przekonane, że bądź co bądź mówić prawdę należy, bez wahania odpowiedziała, iż ojciec nigdy prawie nie wspominał jej o młodości swej spędzonej w ojczyźnie, a o bracie czasami tylko robił nic nieznaczające uwagi.

— Tak! tak! to już było takie jego przyzwyczajenie! — odparł stryjaszek, nie dając się zbić z tropu młodemu dziewczęciu. — Poczciwy Rudolf

nigdy chętnie nie wspominał o wyświadczonych mu dobrodziejstwach, a ostatecznie miał też pewne powody, aby pokryć milczeniem to, co zaszło w ojczyźnie przed jego wyjazdem!...

Gniewne, pełne oburzenia spojrzenie młodej dziewczyny zmusiło go na chwilę do milczenia i do ukrycia swego pomieszczenia w głębokim westchnieniu.

— No, no! ja przez to nie chcę nic złego powiedzieć! — ciągnął dalej po krótkiej pauzie — nie myślę twierdzić, że popełnił coś karygodnego i jestem daleki od tego, aby oskarżać go o jakieś głupstwa popełnione w młodości! Ale mam nadzieję, droga Helu, że będziesz mnie darzyć podwójnem zaufaniem, skoro się dowiesz, co ja dla twego ojca uczyniłem!...

— Być może, ale w każdym razie proszę cię stryju, żebyś mi przynajmniej teraz nic o tem nie wspominał. Chcę wierzyć, że wszystko tak jest, jak ty opowiadasz, choć to nigdy nie leżało w charakterze mego ojca, aby zapominał o tem, gdy mu ktoś wyświadczył coś dobrego. A przytem, to co słyszałam od niego jeszcze tego samego dnia, w którym umarł, pozwalałoby mi przypuszczać, że rzecz ma się całkiem odwrotnie!

Pan Springer parsknął krótkim urywanym śmiechem.

— Hm! zdaje mi się jednak, moja Helu, że to, co ci ojciec mówił, powinnaś tylko uważać za prosty żart z jego strony! Jeśli ci bowiem coś wspominał o bogactwach, które ja miałem dlań, czy też dla ciebie przechowywać, to mylił się grubo i jeśli prócz tej problematycznej wzmianki nic innego ci nie pozostawił, to nie masz nawet powodu cieszyć się ze spadku! Ale to wszystko niema nic wspólnego z tem, o czem ja chciałem pomówić z tobą, moja droga dziecino! Na rozmowę o sprawach pieniężnych mamy jeszcze dość czasu, zwłaszcza, że rachunki moje z bratem są w zupełnym porządku. Teraz chodzi mi o rzecz ważniejszą. Nie wątpię, że zechcesz mnie uznać za swego opiekuna i uważać mój dom za swój własny, a zwłaszcza, znajdziesz w nim nietylko kochające serce ojca i matki, ale także i rodzeństwo, które cię przyjmie jak siostrę, nieznaną jeszcze wprawdzie, ale mimo to nie mniej ukochaną. Krótko mówiąc, pozwolisz, że jeszcze dziś opuścimy Hamburg i że zawiozę cię do naszego domu!...

C. d. n.